

Stado – 10 – Razem

17 listopada 2010

„Cokolwiek uczyni mąż znakomity, to samo powtarza za nim ktoś inny. Świat cały postępuje za danym przez niego przykładem.”

Bhagawadgita III – 21

To był kolejny, zdaje się nawet z założenia banalny, szczyt polityczno-gospodarczy. Prasa bardziej z obowiązku niż z powodu faktycznego zainteresowania, relacjonowała sucho o spotkaniach i konwencjonalnych nasiadówkach z udziałem dziesięciu ekip, przedstawicieli najbardziej liczących się gospodarczo i militarnie państw świata. I czy to z powodu owej rutyny sprawozdawczej, czy może z powodu konieczności rozproszenia dziennikarskiej uwagi – w tym samym czasie odbywały się super wybory Miss World oraz potężne rozruchy religijne w Algierii – przeoczono drobny moment owego szczytu.

Ni stąd, ni zowąd, czterech prezydentów; Stanów Zjednoczonych, Chin, Francji i RPA, wraz ze swoimi ministrami, znikło na całe dwa dni z Baltimore, gdzie odbywała się konferencja. Co prawda wszyscy wiedzieli gdzie dostojne towarzystwo wyleciało – mianowicie do jakiejś supertajnej bazy wojskowej w Nowym Meksyku – ale co innego wiedzieć a co innego uczestniczyć, choćby pod drzwiami. W końcu jednak nic szczególnego się nie stało, wyjąwszy niespotykaną niekompletność tej „wycieczki”. Uczestnicy szczytu jak polecili, tak i wrócili, wystosowano odpowiednie, jak zwykle nic nowego nie mówiące komunikaty prasowe, odbyło się kilka stereotypowych, reklamarskich konferencji TV i szczyt jak zwykle skończył się niczym. Można było zająć się tym co zwykle – relacjami, komentarzami i najchętniej niezbornymi, podniecającymi próbami sterowania akcją, przebiegiem i parametrami, tego żałosnego, trwającego od wieków, przedstawienia cyrkowego.

Tymczasem właśnie tam, w Nowym Meksyku, niedaleko Roswell, w małej salce konferencyjnej, znajdującej się na terenie

specjalnej, strategicznej, wyjątkowo strzeżonej i niedostępnej jednostki wojskowej, nastąpiło bodaj czy nie najważniejsze w historii ludzkości spotkanie przywódców potęg światowych z siedmioma skromnymi cywilami.

Konferencję prowadził rzecz jasna Warren i prawdę mówiąc nie rozwodził się zbytnio, jako, że nie było potrzeby wprowadzania tych konkretnych głów państw w nieistotne szczegóły. Wszyscy oni, za przyczyną swoich, lokalnych niejako Długowiecznych, doskonale zdawali sobie sprawę z sytuacji. Pozostawał problem określenia taktyki działań, możliwych do zastosowania w nowych warunkach, zaistniałych dzięki wynalazkom spółki R&C, określenie i znalezienie funduszy na te cele oraz organizacyjne przygotowanie całości, w tym ochrona i ścisłe utajnienie poczyną.

Ronson nie mógł się nadziwić kilku, rzucającym się w oczy podczas tych dwudniowych obrad sprawom. Najwyraźniej większość co znacniejszych ekip rządzących uwikłana jest w tę ponurą, ściśle strzeżoną tajemnicę. Od zawsze. Cała pozostała masa szaraczków żyje w słodkiej nieświadomości, borykając się z trudnościami dnia codziennego na Chwałę Pańską. Oszustwo totalne.

Po drugie, żaden z dostojników rządowych, w końcu różnych i nie zawsze we wszystkim zgodnych państw, nie zająknął się nawet na temat samej strategii problemu, na temat konieczności przeciwdziałania opcji hodowlanej, czy teatralnej. Najwyraźniej ta kwestia jest tak oczywistą, że nie warto jej w ogóle poruszać. Też był tego zdania, ale w naturalny sposób nie miał pewności czy inni w pełni podzielają jego poglądy. W końcu można sobie wyobrazić jakiegoś, nawet wysoko postawionego idiotę któremu ten stan rzeczy odpowiada i który po zapoznaniu się z niebezpiecznymi planami będzie próbował je sabotować od środka, z wewnątrz Programu. Mogło również dojść do samodzielnych, mających na celu likwidację działań wyzwolenieczych, niełatwych, jednak podobno możliwych, kontaktów z Obcymi.

Niepokoił go także problem pozostałych członków dwunastki i ich nieobecność na szczycie. Podczas chwili przerwy zagadnął o te sprawy Grahama, ale ten powiedział tylko:

– Nic się nie martw Harvey, wszystko idzie dobrze. Później ci to dokładnie wyjaśnimy.

Mimo tego typu obiekcji, spółka R&C przeżywała swoje wielkie chwile. Przedstawieni elicie świata jako niemal zbawcy, spotykali się w trakcie tych obrad z wszelkimi niezaznanymi dotąd wyrazami atencji, i to z tak szacownej strony. Mało kto uściskał jednego dnia tyle wybitnych rąk, mało kto usłyszał tyle komplementów i słów uznania z tak ważnych ust. Pochlebiało im to bardzo i wcale się tego nie wstydzili, mimo pewnej ambiwalencji jaką odczuwali. Nareszcie zostali w pełni dowartościowani.

Na razie Warren referował swój szaleńczy plan.

Po pierwsze, należy skonstruować i wykonać przynajmniej trzy pojazdy kosmiczne, wyposażone w autonomiczne zestawy czasowe, oraz w kilka zestawów zewnętrznych do dowolnego instalowania w przestrzeni. Pojazdy owe powinny również posiadać możliwie dużą ilość samo naprowadzanych rakiet z głowicami nuklearnymi, na wypadek sytuacji nieprzewidzianych. Z pomocą tych pojazdów, kilkuosobowe załogi przeniosą się w głęboką przeszłość, do okresu bezpośrednio przed pierwszymi wizytami Obcych. Załogi ludzkie zainstalują tam coś w rodzaju trwałej, globalnej blokady czasowej i polowej wokół Ziemi, która zasilana z elektrowni RC, ma funkcjonować aż do naszych czasów. Blokada ta musi mieć postać umownej sfery o możliwie dużej średnicy, uniemożliwiającej przenikanie do wewnątrz jakiegokolwiek materii posiadającej masę bezwładnościową i nie znajdujące się w stanie „c”. Innymi słowy blokada będzie przeźroczysta dla każdego rodzaju promieniowania, natomiast stanie się nieprzekraczalną barierą dla wszelkiej materii, również dla jakichkolwiek Obcych. Nie powinno to zatem wpłynąć zbytnio na środowisko przyrodnicze i ekologię Ziemi.

Po drugie, mając na uwadze dalsze losy ludzkości, załogi tych trzech pojazdów wykonają następnie jeszcze głębszy skok w przeszłość i poszybują z prędkością podświetlną możliwie daleko w Przestrzeń, na poszukiwanie nadających się do późniejszej emigracji planet. Założą tam identyczne, trwałe blokady, unieruchamiane super skomplikowanym i tajnym kodem radiowym i wrócą spokojnie na Ziemię, do naszych czasów. Wszystko to ma zdezorientować Obcych, którzy być może potraktują kilka niedostępnych globów jako naturalne ewenementy przyrodnicze, na rozgryzanie których szkoda fatygi.

Po trzecie, mając już tak przygotowaną bazę i oczyszczone przedpole, uruchamia się w niekontrolowanej przez Obcych teraźniejszości, masową produkcję odpowiednich, rodzinnych pojazdów kosmicznych, po czym następuje stopniowa, bezpieczna i masowa, emigracja ludzkości w przeszłość i do nowych, wspaniałych, niezagospodarowanych światów. Powstaje IMPERIUM.

Plan, choć bardzo śmiały i radykalny, wywołał jeżeli nie entuzjazm – w tego typu gremiach kontroluje się emocje – to przynajmniej życzliwe, ciepłe przyjęcie, wyrażone głównie werbalnie i za pomocą spokojnych, kulturalnych oklasków. Sukces był pełny, zwłaszcza, że jego zarysy, założenia, omawiane były wcześniej i konsultowane, z wprowadzonymi ostrożnie w temat wojskowymi, w tym z ambitnym, udobruchanym już całkowicie generałem Hartnellem. Ustalono szkieletowo harmonogram działań, powołano specjalne konta, określono ścisłe kierownictwo programu i jego miejsce pracy. Machina ruszyła.

* * *

Ponieważ Obcy zasadniczo nie interesują się pojedynczymi ludźmi, ani nawet większymi grupami – bawią ich raczej zdarzenia masowe, procesy i przemiany narodowe bądź globalne, jak to w dużym zakładzie żywienia zbiorowego lub też podczas wielkich imprez sportowych, Kwaterę Główną zlokalizowano dość jawnie na Alasce, na wyspie Unimak, niedaleko Fortu Randal.

Wyspa leżała na 54,7 szerokości geograficznej i znajdowały się tam od lat tylko dwie stacje radarowe wczesnego ostrzegania. Teren wyłącznie wojskowy i absolutnie poza tym bezludny, wybrany doskonale. Lotnicze, czy też morskie dostawy sprzętu i materiałów nie mogły nikogo dziwić – co i rusz zmieniano przecież koncepcje obronne a starzejące się błyskawicznie urządzenia wojskowe wymagały ciągłej modernizacji. Pomieszczenia montażowe, biurowe, laboratoria, kuchnie i inne, wybudowano błyskawicznie głęboko wewnątrz krateru jednego z dwu wygasłych, wiecznie ośnieżonych wulkanów. Całość była więc dobrze zabezpieczona koncepcyjnie i technicznie przed wykryciem przez Obcych.

Do Kwatery sprowadzili się na stałe Ronson i Caster jako nadzorujący prace teoretyczne i wdrożenia techniczne, którzy żartowali, że coraz częściej muszą przebywać pod ziemią, Warren oraz Ti jako koordynacja merytoryczna i również ochrona mentalna przed penetracją (Graham i De Beaune musieli wrócić do swoich obowiązków – jeden do RPA gdzie narastało napięcie społeczne, a drugi do Dijon, nadzorować nowe uwarunkowania europejskie i także grać na swojej wspaniałej gitarze), a także cały tabun specjalistów wojskowych i cywilnych różnych branż. Dodatkowo spora grupa laborantów i laborantek, personelu technicznego, lekarzy, pielęgniarek i obsługi bytowej. W sumie około 150 osób. Istna replika historycznego projektu Manhattan. Tym razem jednak grało się o stawkę znacznie wyższą niż tylko pokonanie Japonii i dominacja nuklearna na świecie. Dla zwiększenia ochrony, całość działań nie otrzymała żadnej nazwy, a miejsce pracy określano po prostu jako Stacja, w obrębie której pracował Zespół.

Prace szły pełną parą – Ronson z Casterem zorganizowali wspaniałe laboratorium – nie brakowało im niczego. Każdy, najwymyślniejszy sprzęt, aparaturę, jeżeli tylko istniała gdzieś na świecie, dostarczano im natychmiast bez zmruczenia oka. Byli nareszcie w swoim żywiole. Docenieni oficjalnie po tylu latach obśmiewania, hojnie zasilani niezbędnymi

materiałami i gotówką która płynęła bez ograniczeń, mający do dyspozycji najlepszych speców – znali niektórych jak złe, wściekłe psy, łaszące się teraz w pełnym upokorzeniu i zrozumieniu swojej małości – oddawali się ulubionej pracy bez reszty.

Najpierw więc opracowali i zlecieli do wykonania supermałe i supertrwałe, długowieczne elektrownie RC w kilkunastu odmianach. Powstało coś ze dwa tysiące tych niezwykle pożytecznych urządzeń, i wszystkie one były przechowywane na Stacji pod ścisłym nadzorem armii. Równolegle, w Time Section, powstawały pierwsze założenia konstrukcyjne załogowego pojazdu czasowo – kosmicznego dla ośmiu osób oraz prototypy potężnych, synchronizowanych zdalnie emiterów pola do użytku w przestrzeni. Do przeróżnych firm w kraju zaczęły napływać rządowe zamówienia specjalne, niespotykane obwarowane wymogami jakościowymi, z nieodzowną koniecznością zachowania w tajemnicy tak technologii jak i samego faktu wykonania. Ale co najważniejsze, nikt z zamawiających nie pytał o koszty, więc robota szła aż miło. Doborowy zespół specjalistów wojskowych, już na terenie Stacji, modyfikował konstrukcyjnie kilka typów rakiet w rodzaju Cruse czy Tomahawk. Przygotowywano systemy łączności i wyposażenie wnętrza.

* * *

Pewnego styczniowego dnia, gdy po raz pierwszy udało się wykroić kilka wolnych chwil z wypełnionej nieustanną pracą i bieganiną doby, Ronson, Caster, Koen, oraz Warren i Ti, spotkali się wspólnie w zacisznym pokoiku stacji, umeblowanym ad hoc w przytulne sofę i dębowe szafy, mieszczące tony przeróżnych zapasów i rupieci. Nareszcie mogli zacząć bliżej precyzować szczegóły całej akcji, nareszcie mieli czas na chwilę refleksji i analiz. Caster z upodobaniem pełnił honory gospodarza i podetknawszy każdemu po kilka szklanych naczyń przeróżnego kształtu i przeznaczenia, snuł się wokół niezgłębionych szaf, wyciągając co i rusz inną, nieodkorkowaną jeszcze, zaskakującą swą zawartością butelkę. Jak zwykle,

indagował niezniszczalny, pełen werwy Ronson.

– Steven, powiedz mi jak organizujecie sobie własne odejście, czy mówiąc brutalniej, zejście? No bo w końcu rozumiesz, że facet który jest na przykład doradcą rządowym prze no... sto pięćdziesiąt lat, staje się kimś w rodzaju ósmego cudu świata?

– Technologia jest prosta – zamiast Warrena odpowiedział Ti. – Ja byłem kilka razy zasztyletowany, raz ścięto mi głowę, cztery razy zmarłem od trucizny. Aha – raz zginąłem zasypany lawiną. I nie chodzi tu tylko o specjalne aranżowanie, reżyserowanie własnej śmierci. Nie. Po prostu, gdy uznamy, że już pora odchodzić, przy byle okazji, podczas byle wypadku czy zamachu, „umieramy”, dajemy się „zabić”, w aktualnie modny, czy politycznie wygodny i logiczny sposób. Pozwalamy się pochować, robią nam wspaniałe pogrzeby, lub nie, a my tymczasem, po cichutku, wypływamy, że tak powiem w innej okolicy, w innym państwie, w innej sytuacji i rodzinie. Rodzimy się, dorastamy i nadzwyczaj szybko, choć dyskretnie, rozwijamy. Znowu nabieramy powoli znaczenia, znowu, komu trzeba, ujawniamy swoje cechy, część swojej roli, i... działamy dalej.

– Rzec jasna jako zupełnie inna osoba – dokończył niewyraźnie Warren, gdyż właśnie przełykał ostatnią kropelkę ekstra koktajlu Castera.

– W takim razie powiedz Ti, jak się naprawdę nazywasz?

– Ti – odpowiedział uśmiechnięty Ti.

– Jak to? Przed chwilą przecież...

– Daj spokój Harvey – Caster patrzył na Ronsona jak na jakieś dziwadło. – Czy nie rozumiesz, że normalny człowiek, w normalnej, spokojnej sytuacji, zwłaszcza w przyjaznym otoczeniu, zawsze najchętniej używa swojego prawdziwego, pierwotnego imienia i nazwiska? A propos Ti, to jest twoje nazwisko czy twoje imię?

– I ti, i ti – zwierzył się udanym szeptem Ti, po czym wszyscy wybuchnęli śmiechem, kojarząc natychmiast ten kalambur słowny ze znanym niegdyś filmem Spielberga. Caster ponownie dopełnił kieliszki.

– Chińczycy to bardzo konserwatywny naród – odezwał się Koen.

– O ile wiem tradycja jednosylabowych imion nazwisk, ma tysiące lat.

– No, to nie całkiem tak – Ti pokręcił przecząco głową – Ale nie rozwijajmy proszę tego tematu, dobrze?

– Okay! – zgodził się Ronson. – W takim razie powiedźcie nam jak przez te setki, ba, tysiące lat, kontaktowaliście się z Nimi – jak otrzymujecie instrukcje?

– Widzisz Harvey – Warren rozsiadł się wygodnie. – Sprawa polega na czymś zupełnie zasadniczym, czymś zupełnie nieoczekiwanym i zaskakującym. Dla was, rzecz jasna, a zwłaszcza dla Krisa, jak sądzę.

– Znowu?

– Dla mnie? – Koen był najzupełniej zdziwiony takim wyróżnieniem.

– Tak Kris, dla ciebie. W zasadzie jedynie dlatego, że jesteś wierzącym i praktykującym katolikiem, chociaż rodzaj wyznania jakie uprawiasz nie ma tu żadnego znaczenia. Jest jeszcze drugi, choć mniej ważny powód takiego, powiedziałbym, ciężkostrawnego zaskoczenia, związany z twoją osobą.

– Tak?

– Owszem. I mówiąc prawdę chciałbym tę konkretną rozmowę odłożyć na później, ale niech tam. Raz kozie śmierć. Mam nadzieję, że zniesiesz to jakoś.

Zaciekawienie trójki normalnych śmiertelników wzrosło do stopnia niewiarygodnego wręcz. Caster zapomniał się nawet w

swoich barmańskich, tak chętnie podjętych, obowiązkach.

– Chodzi o to Kris,, że ty nie masz naukowych nawyków. Nie masz tej rozwiniętej jak u Sida i Harveya ciekawości świata, zjawisk, procesów. Nikt cię za to nie wini – przygniatająca większość porządných i zasłużonych nawet ludzi nie posiada tych cech w ogóle. Mało tego. Tych cech nie posiada większość szanowanych skądinąd uczonych, profesorów, noblistów nawet. To bardzo rzadkie przymioty, pozwalające dość spokojnie przyjąć każdą w zasadzie prawdę, dającą się następnie rzetelnie zweryfikować. Ale jak mówię, niech tam. Poradzisz sobie z tym.

Warren wyrwał prawie z rąk oniemiałego Castera napoczętą butelkę, nalał sobie do kieliszka odrobinę starej brandy i spokojnie wypił. Następnie sięgnął do kieszeni, wyjął stamtąd małeńkie pudełeczko z jego ulubionymi, miętowymi cukierkami i poczęstował nimi wszystkich chętnych. Ronson zapalił cygaro – nikomu z obecnych dym tytoniowy nie przeszkadzał – i tak, przez moment, każdy był czymś zajęty. Ponownie odezwał się Warren.

– A więc ten nasz kawałek prawdy wygląda mniej więcej tak. Każda istota żywa, każdy byt, zdolny do posiadania potomstwa i do rozwoju, do uczenia się, każda tego typu jednostka, jest czymś niewyobrażalnie trwałym w swojej istocie całościowej. A owa istota całościowa, owo sedno indywidualności, czy mówiąc trywialnie,... dusza, jest czymś, wybac mi Kris, bardziej zbliżonym w swym charakterze do wschodnich, hinduskich, buddyjskich o niej wyobrażeń, niż na przykład chrześcijańskich czy szczególnie, katolickich.

– Jak to? – Koen nie zdołał wydusić z siebie bardziej sensownego pytania.

– Spokojnie Kris. Ja nie twierdzę wcale, że wschód ma rację. Ja tylko mówię, że oni są nieco bliżsi prawdy niż ty. Nieco.

– A jak wygląda prawda? – bezceremonialnie włączył się Ronson.

– Małeńki kawałek Prawdy – podkreślił Warren. – Wygląda mianowicie tak, że im starsza ewolucyjnie jednostka, tym bardziej i tym chętniej żyje, funkcjonuje, w swojej składowej duchowej. W swoim jak najbardziej naturalnym środowisku, w swojej naturalnej postaci. Problem polega na tym, że na każdym poziomie, w każdej warstwie egzystencjalnej, ale i między warstwami, co jest mówiąc prawdę dość rzadkie, odbywa się nieustanna, wieczna, walka o byt, a ściślej o samorozwój.

Cały, wielopoziomowy Wszechświat, czymkolwiek by on nie był, skonstruowany jest jako wieczna, nieustająco walcząca z wszelakimi przeciwnościami wewnętrznymi i ... zewnętrznymi, całość, co wcale nie jest sprzecznością samą w sobie. Skomplikowana, nie do ogarnięcia, przepełniona totalną wewnętrzną konkurencyjnością, współzawodnictwem struktura. I jak to zwykle bywa, jedni ze wspinających się ku... światłu, wygrywają a drudzy niestety przegrywają. Myśmy jako gatunek przegrali, choć tak naprawdę przegrana długodystansowa nie jest możliwa. Nasza chwilowa porażka polega na tym, że Obcy, stwarzając nas, a ściślej, radykalnie przyśpieszając naszą przemianę z prymitywnej małpy w trochę mniej prymitywnego człowieka, zrobili to bardzo umiejętnie, mając na względzie głównie, nie do końca przecież zrozumiałe korzyści własne.

Mianowicie pozbawili nas, indywidualnych osobników, pamięci naturalnego, odbywającego się jak najbardziej realnie, istnienia duchowego. Wstawili nam trwałą, genetyczną blokadę wrażeń, zdarzeń, faktów, które dzieją się wokół nas i z naszym udziałem w rzeczywistości pozafizycznej, tej prawdziwej, właściwej. Bez przerwy, ale zwłaszcza co noc, podczas snu każdego z nas, także po tak zwanej śmierci, przed następnym urodzeniem. Zresztą mówiliśmy już przecież o tym i tylko dzięki tej zasadzie możemy funkcjonować my, „długowieczni”.

– Reinkarnacja jako naturalna, wszechogarniająca, kosmiczna prawidłowość? – nie wiedzieć czemu Caster mówił szeptem.

– To złe słowo – sprostował Ti. – To słowo zakłada, że nasze

życie fizyczne, ziemskie, jest czymś najważniejszym, podstawowym, powtarzanym z jakiegoś tam powodu wielokrotnie, podczas gdy tak naprawdę jest dokładnie odwrotnie. Czymś podobnym będzie – jest to jedyny przykład jaki mi w tej chwili przychodzi do głowy – wielokrotne zanurzanie ręki w chłodną toń czystego, górskiego strumyka, ot tak, częściowo dla ochłody, częściowo dla zabawy. Sprawia nam to przyjemność – patrzymy jak wartka woda opływa palce, czasem uderzy nas jakiś drobny kamyk – po czym wyciągamy w końcu zmarzniętą dłoń, gdyż ile w końcu czasu można spędzić na bezmyślnej zabawie?

– Przykład jest niezły – uśmiechnął się Warren. – Problem polega jednak na tym, że im niższy poziom ewolucyjny, rozwojowy, tym dłużej i tym większa część ciała jest zanurzona w owym strumyku życia fizycznego. Jednocześnie owa chłodzona dłoń, w momencie zanurzenia zapomina jakby częściowo, a w naszym przypadku i za sprawą właśnie Obcych, całkowicie, że jest fragmentem większej całości, koncentrując się bez reszty na swym nowym środowisku. Rzecz skądinąd zrozumiała.

– W takim razie po co naszym... Opiekunom, obserwacja, hodowla i, no... rodzaj konsumpcji, wrażeń, odczuć... jakiegoś tylko drobnego fragmentu naszej istotności? – Ronson w dalszym ciągu nie bardzo rozumiał o co chodzi, podobnie zresztą jak pozostała dwójka „normalnych”.

– Może sami nie mają już czego wkładać do wody? A może tylko w środowisku wodnym – w rzeczywistości fizycznej – możliwe jest uprawianie na wielką skalę tego rodzaju pasożytnictwa? W końcu na owym pozafizycznym, naturalnym planie, międzygatunkowe różnice rozwojowe, cywilizacyjne, są znacznie mniejsze, nie tak istotne. Stąd i ewentualni przeciwnicy mają bardziej wyrównane szanse. Nie wiemy jednak na pewno Harvey. – Ti miał bardzo przygnębiający wyraz twarzy.

– A kontakty, przyjmowanie instrukcji, raportowanie, odbywają się bardzo blisko powierzchni owego strumyka – wyjaśniał Warren – na tyle blisko, że ma to większy wpływ na naszą

osobistą, indywidualną część „ponadpowierzchniową”. W pewnym sensie jesteśmy w znacznie gorszej sytuacji niż wy. Również ten fakt popycha nas dodatkowo do buntu, do przeciwdziałania.

Caster drżącymi dłońmi ponownie wypełnił sumiennie miły, gospodarski obowiązek, po czym zaległa chwila ciszy. I wtedy usłyszeli jakiś miarowy, rytmiczny stukot. Wszyscy spojrzeli na pobladłego Koena, któremu drgała nerwowo prawa noga.

– Nie panowie! Tak nie jest! – zerwał się gwałtownie z kanapy i zaczął krążyć po pokoju jak tygrys, załamując ręce. – Tak nie może być. Jestem może półinteligentem, to znaczy półidiotą, jednak wiem na pewno, że mylicie się poważnie. I wiedzą to znacznie lepsi ode mnie, a nawet od was. Wystarczy poczytać Pismo.

– Jakie znowu pismo? – Ronson nie zrozumiał początkowo i ponownie napotkał pełne zażenowania spojrzenie bardziej panującego nad sobą i wrażliwszego Castera. – A..., tak, przepraszam.

– A skąd Kris ta pewność, że Pismo ma rację? – w ciszę pokoju padło ostre jak stal pytanie Ti.

Koen zatrzymał się jak wryty. Jeszcze chyba nigdy i nigdzie nie zdarzyło się żeby ktokolwiek zadał tak bezceremonialne pytanie. Przynajmniej tak wprost i tak... bez złych intencji zdaje się.

– No... jakżeż – Koen nie bardzo wiedział co powiedzieć, jednak podjął dyskusję. – Przecież od dwóch tysięcy lat jest codziennie weryfikowane. Przez miliony wiernych. Przez całą naszą rzeczywistość!

– Tak? W podobny sposób i przez nie mniejszą liczbę swoich wiernych są weryfikowane inne, jeszcze starsze Pisma. – Ti widocznie uznał, że operacja musi być prowadzona radykalnie.

– No ale inni nie mieli Chrystusa, nie mieli ukrzyżowania, nie

mieli zmartwychwstania i odkupienia!

– Rzeczywiście. Tu jest pewien problem, nad którym sami głowimy się od początku. Ale jeżeli zostawimy chwilowo tę kwestię na boku, to cała reszta, wszystkie pozostałe fragmenty Pisma, staną się natychmiast jakby mniej objawionymi. Nie neguję oczywiście wielkich, a nawet wyjątkowych zalet Pisma. Jednakże z wszystkich tych niezwykle precyzyjnych, barwnych opisów historycznych, z wszystkich jakże słuszných przesłań i zasad moralnych, z wszystkich cudownie logicznych a jednocześnie poetyckich strof, wcale nie musi wynikać Objawienie. A już na pewno nie w sposób oczywisty. Poza tym Bóg Starego Testamentu jest najwyraźniej kimś zupełnie innym niż pełen miłości i zrozumienia Bóg Nowego Testamentu. Dodatkowo weź pod uwagę nowożytną już, wielokrotne reinterpretacje niektórych fragmentów, czy nawet cenzurę wręcz, pewnych części, dotyczących zwłaszcza duszy ludzkiej, jej wiecznego rozwoju i trwania, wielokrotnych wcieleń. To są fakty. No i ten enigmatyczny, niejasny, wieloznaczny sposób pisania, utrwalania myśli. Zastanów się nad tym.

– Owszem, Pismo jest miejscami niejasne i może być interpretowane dość dowolnie – Koen dał się wciągnąć w merytoryczną dyskusję, co według nadziei Ti, miało mu pomóc w miarę łagodnie przyjąć pewne poglądy. – jednak niejasności te są konsekwencją ówczesnych braków pojęciowych, językowych, ale również niepełnej, niemożliwej do zrealizowania przekazywalności treści pozarozumowych, transcendentnych. Stąd taki a nie inny język oraz układ Pisma.

– Tu się z tobą zgadzam – włączył się ponownie Warren. – Lecz jeśli Bóg kiedyś tam uznał, że należy się z nami jakoś porozumieć, choćby za pomocą Pisma, to dlaczego nie robi tego stuprocentowo jednoznacznie i przede wszystkim nadal? Tak by nie było żadnych, najmniejszych wątpliwości? Dlaczego od przynajmniej dwóch tysięcy lat jest nieobecny, niewykrywalny, jak kiedyś? Można sobie przecież wyobrazić krystalicznie czysty, logiczny przekaz, którego autentyczność będzie co

jakiś czas potwierdzana, no..., dajmy na to szczególnie, nienaturalnym, w oczywisty sposób Boskim, zjawiskiem e... kosmicznym, czy innymi tego typu wydarzeniami, będącymi w jasnej korelacji z Pismem. Jak by się wtedy zachowywała ludzkość? Twierdzę, że o wiele lepiej niż teraz. Zwłaszcza, że „ignoti nulla cupido” – nieznane nie pociąga.

– To zupełnie podobnie jak z problemem UFO – przytaknął przytomnie Ronson. – Podobno mnóstwo ludzi jest od lat świadkami tego zjawiska, ale zawsze jakoś tak się dziwnie składa, że są to obserwacje indywidualne, czy w najlepszym razie rodzinne, kilkusobowe. Są oczywiście także fotografie, filmy. Jednak w miarę upływu czasu owe indywidualne, choć występujące masowo relacje, stają się coraz bardziej niesamowite, coraz bardziej zagmatwane i pokrętne. Jakby kolejni, późniejsi uczestnicy dziwnych wydarzeń brali zawsze pod uwagę relacje poprzednie i chcąc błysnąć na łamach wyraźniej niż inni, coraz mocniej udiwniali swoje przeżycia. Ba! Coraz częściej mamy do czynienia z najdziwaczniejszymi przesłaniami, ostrzeżeniami kierowanymi do ludzkości, kosmicznymi radami i totalnym zatroskaniem tajemniczych, jakże nieuchwytnych gości. Zawsze jednak występuje ludzki, pojedynczy tylko, pośrednik. Dlaczego? Czy owi Obcy nie mogliby, no nie wiem... wylądować w kilka spodków przed... White House i oficjalnie, wiarygodnie, przekazać swoje zatroskanie? Podobnie zachowuje się... Bóg, a tak naprawdę to wszyscy bogowie, jacy by nie byli od początku świata. Kompletny brak choćby cienia jednoznaczności, jakiegoś trwałego, realnego elementu, dającego się w każdych warunkach weryfikować. Z tym, że my dzięki naszej pracy, dzięki szczególnie hm... kontaktom z... wybaczcie, Nadzorcami, już trochę o UFO wiemy

– No a wolna wola? Co wtedy z wolną wolą? – Koen był uparty.

– Nic. W takiej sytuacji obszar wolnej woli by się moim zdaniem powiększył – kontynuował tę myśl Warren. – Mielibyśmy swój fizyczny, ziemski świat, zorganizowany na nasz paranoiczny sposób i jasne, autentyczne wytyczne, których

spełnianie byłoby całkowicie dobrowolne. Nie pod presją jakiegś tam nagrody, nieba czy raju. Nie. Po prostu dla samej świadomości samorozwoju, możliwie szybkiego posuwania się w górę. I jasny, oczywisty podział na dobrych – złych. A tymczasem tkwimy ciągle w tym bagnie nieokreśloności, gnębimy się wzajemnie i wygląda na to, że zamiast się rozwijać, gnijemy coraz bardziej. Do tego jeszcze dochodzą Obcy, ze swoją, wszczepioną nam blokadą genetyczną. Tfu! Najwyższy czas skończyć z tym wszystkim raz na zawsze.

Warren wyraźnie się zdenerwował. Koen nigdy go jeszcze takim nie widział i teraz patrzył kolejno na pozostałych, szukając jakby ratunku przed nieobliczalnym szefem.

– Nie zgadzam się z tobą Steven – Caster uśmiechnął się do Koena jak do kogoś z kim jest w lepszych układach niż z pozostałymi. – Jeżeli owa ręka baraszkująca w strumyku ma się czegoś naprawdę trwale nauczyć, jeżeli ma sama z siebie poznać smak każdego uderzenia kamyka, każdego zawirowania, jeżeli w każdej chwili ma znać wszystkie dobre i złe cechy wartkiej, nieobliczalnej przecież wody, to nie może posiadać świadomości bycia częścią jakiegś większej, potężniejszej i daleko ważniejszej całości. Nie może liczyć na w każdej chwili bezpieczne, niekłopotliwe wyjście z groźnego żywiołu. Poza tym, gdyby posiadała pamięć poprzednich, być może nieprzyjemnych dla niej igraszek wodnych, za żadne skarby nie pozwoliłaby się ponownie włożyć do strumyka. Neurotyczna awersja i w konsekwencji, kto wie, może palpitacja lub częściowy paraliż całego ustroju?

Warren i Ti patrzyli przez chwilę zdumieni na Castera, po czym jednocześnie zaczęli bić brawo.

– Wspaniale Sid, wspaniale! – wykrzyknął zazwyczaj opanowany Ti. – Widzisz Kris – tu zwrócił się do Koena – tak trzeba reagować, tak trzeba analizować problem, tak trzeba argumentować.

– Ale nawet stojąc na gruncie twojego dogmatu – uzupełniał niezmordowany Ti – można wykazać wiele jego wewnętrznych sprzeczności. Jak twierdzisz, jak twierdzi twój Kościół, żyjemy tylko raz i naszym wewnętrznym obowiązkiem, naszym jedynym celem jest ścisłe, chętne, wypełnianie wszystkich, skądinąd słusznych nakazów i zakazów wiary. Po to by zasłużyć na... wieczny raj. W porządku. Ale co mają zrobić ludzie którym przez całe życie nie dano najmniejszej szansy na realizację tych zasad? Na przykład genetyczni idioci, nie potrafiący odróżnić dobra od zła? Na przykład żyjący od urodzenia i wychowani w środowisku patologicznym, zbrodniczym? Czy choćby obarczeni jakąś istotną wadą fizyczną bądź psychiczną, dyskryminowani w związku z nią przez całe swoje nędzne życie i mający „dzięki temu” określony stosunek do rzeczywistości? Lub zwykli, permanentni pechowcy? Wszyscy oni, i wielu, wielu innych, z racji obiektywnej niemożności realizacji postulatów twojej wiary w tym krótkim, jednorazowym życiu, skazani są nieodwołalnie na wieczny ogień piekielny. Koszmarna niesprawiedliwość, nie uważasz?

– No..., ja na to nie odpowiem, nie jestem teologiem – Koen zasępił się. – Dużą część tego typu wątpliwości rozstrzyga się na zasadzie nieprzeniknionej tajemnicy Boskiej.

– Pewnie. Tak najwygodniej – skrzywił się Warren.

– Istnieje też instytucja Sądu Ostatecznego – przypomniał sobie Koen.

– Tu już przesadziłeś – zaprotestował Ti. – Jak można efektywnie rozstrzygać takie przypadki? Jak oceniać kogoś kto mógł się poruszać tylko jedną, gdzieś tam wytyczoną koleiną, kto nie miał żadnej szansy na jej opuszczenie, na szerszy ogląd?

– Nie wiem – przyznał wreszcie Kris.

– No, to już jakiś sukces – pochwalił Warren. – Jednak pozostaje druga część problemu: mianowicie czy chcesz

wiedzieć?

– Cóż, chyba tak – mruknął cicho.

– W takim razie wybacz nasz atak i nie przejmuj się zbytnio tym co nieraz wygadujemy. My jesteśmy w bardzo podobnej, jeśli nie identycznej sytuacji co ty, no, może o jeden drobny szczebelek wyżej – Ti objął Koena poufale. – Rzeczywistość fizyczna którą postrzegamy świadomie oraz rzeczywistość szersza, nadfizyczna, którą przeżywamy już mniej przytomnie, to jedynie drobniotki fragmenty czegoś tak wielkiego, że nawet nie jesteśmy w stanie tego przeczuć. I nie zmieniają tego żadne najbardziej wnikliwe czy dziwaczne teksty, jakie powstały w związku z tym od początku istnienia ludzkości. I które wciąż powstają i... są coraz dziwniejsze. Nie ma na to rady.

– Racja – przytaknął smutno Caster.

– E... – chciał coś odpowiedzieć Koen, ale dał spokój i tylko machnął ręką.

– I jeszcze jedno – ciągnął dalej Ti. – Żeby wam już całkiem zamieszać w głowach, spróbujemy rozpatrzeć trzy, klasyczne z punktu widzenia chrześcijaństwa, choć nie tylko, możliwości. Po pierwsze czy nasz świat może być Niebem, czymkolwiek by ono nie było z założenia?

– Zdecydowanie nie – Ronson miał w tej sprawie jasno określony punkt widzenia. – Przede wszystkim dlatego, że jakiegokolwiek niebo musi funkcjonować bez tych niezmiernych, potwornych pokładów cierpienia, jakie nas codziennie dotykają. To nieistotne zresztą, że głównie z naszej własnej przyczyny. Inaczej nie może być niebem i rzecz jasna w tej sytuacji nie jest.

– Poza tym niebo powinno oznaczać swobodny, nieskrępowany niczym kontakt z Najwyższym Rozumem, z... Bogiem – dorzucił Caster.

– No i sprawa najważniejsza – uzupełniał Warren. – Istnienie, życie w niebie musi być świadomie, totalnie, postrzegane jako właśnie... niebiańskie. Po prostu musielibyśmy o tym wiedzieć. Skądinąd bardzo dobrze wiemy, że tak nie jest.

– W takim razie może Czyścić? – prowokował dalej Ti.

– Również nie – zaprzeczył Caster. – Czyścić ma być czymś w rodzaju... Moralnej Pralni, gdzie odbywa się szlifowanie końcowe, ostateczna drobna korekta w zasadzie ukształtowanego już prawidłowo osobnika, jednostki. Jednym słowem każdy kto Pralnię opuszcza, powinien być już raz na zawsze oszlifowanym, przedestyłowanym i nieskazitelnie przygotowanym do przekroczenia bram niebieskich. Tak również nie jest jak wiadomo, wzięwszy pod uwagę te tysiące umierających codziennie zatwardzalców, bandziorów czy innych szwarc charakterów.

– Również nie ma tu zastosowania teoria reedukacyjna – Ronson smutnie kiwał głową. – Każdy więzień, każdy skazany za jakiś zły czyn, jeżeli są z nim związane jakieś nadzieje na poprawę, na reedukację właśnie, musi mieć pełną świadomość swojej sytuacji i swoich perspektyw. Inaczej cały proces nie ma sensu.

– Brawo. Argumentujecie bez zarzutu – Ti był bardzo zadowolony. – Dorzuciłbym tu jeszcze konieczność pamięci wykroczeń czy też przestępstw jakich się dopuściliśmy i w związku z którymi znajdujemy się w Czyścću właśnie. No, ale może w takim razie... no cóż... Piekło?

– Również nie! – dobitnie stwierdził Warren. – Z podobnych powodów co wersja poprzednia. Kara, niezależnie od jej czasowego wymiaru, ale zwłaszcza kara wieczna, Wieczne Potępienie, przestaje być karą w momencie braku pamięci czynu karalnego. A tym bardziej przy braku pamięci przewodu sądowego, wyroku i jakiegś formy jej akceptacji. Kara spełniana w takich warunkach jest czymś skrajnie bezsensownym.

Nastąpiła chwila milczenia. Każdy z dyskutantów przetrawiał w

sobie wszelkie możliwe i niemożliwe kombinacje. Niespodziewanie odezwał się Koen:

– A może... Szpital?

– Chyba tylko psychiatryczny! – skrzywił się Ronson.

– To nie jest głupie – stwierdził Ti pocierając czoło. – Myśmy też już kiedyś dyskutowali tę możliwość, modyfikując ją na różne sposoby. Jednak po wiekach przemysłów i wręcz kłótni, pozostała w zasadzie tylko jedna opcja. Uprawa lub hodowla, jak kto woli. Może nawet Fabryka. Przy czym Obcy są tutaj tylko jednym z najwyraźniej koniecznych elementów technologii. Tylko co się tutaj produkuje, pozyskuje, i na którym z... poziomów, planów? Oto są pytania.

– Szanowni panowie – odezwał się ponownie Ronson. – O ile wiem, o ile zdążyłem się zorientować z różnorodnej literatury tego typu jaką udało mi się w życiu przeczytać, to wszelkie uczone dyskusje i spory na tematy religijne czy światopoglądowe, nie prowadzą do niczego. Nie dają żadnych zgodnych ustaleń, bo ich dać nie mogą. Z prostej przyczyny. Adwersarze nie mają na poparcie swoich tez, swoich prawd, żadnych, ale to żadnych argumentów faktograficznych, naukowo, racjonalnie weryfikowalnych. Żadnych rozsądnych dowodów. I to jest jedyna jak dotąd prawda. Sprawdzalna w każdej chwili i w każdych warunkach. No, teraz, mówiąc szczerze, sytuacja jest troszeczkę inna, ponieważ mamy wśród nas, na co dzień, dwóch, e... trochę nietypowo wyposażonych osobników, gotowych w każdej chwili demonstrować swoje umiejętności. Robili to zresztą już nie raz w naszej przytomności. Ale to według mnie również niewiele wnosi do kwestii Boga, czy mówiąc ogólniej Absolutu, co zresztą sami przed chwilą przyznali. Poza w gruncie rzeczy intuicyjnym, bardzo niestety potencjalnym poszerzeniem oglądu, bardziej przez to niestety niezrozumiałej, beznadziejnie skomplikowanej rzeczywistości. Mam rację?

– W zasadzie tak – po namyśle odpowiedział Warren, – chociaż

mam nadzieję, że z czasem, w miarę rozwoju naszej znajomości i współpracy, co krok, wspólnie, będziemy się przekonywać o złudnej realności tego na pozór stabilnego i trwałego, konkretnego, jak sądzi przygniatająca większość, świata. Musimy, jak widzę, częściej rozmawiać na te tematy.

– Zgoda – zdecydował za wszystkich wstawiony już lekko, wyraźnie zmęczony Caster i czym prędzej nadrobił swoje, zaniedbane na chwilę, dystrybutorskie powinności.

Z pozostałymi, szczegółowymi zagadnieniami, dotyczącymi postępu prac przygotowawczych, realizacją konkretnych rozwiązań technicznych, harmonogramem robót i organizacją dostaw, uporali się do północy, po czym wyczerpani, zakończyli spotkanie. Rozeszli się jednak dość markotni, zwłaszcza Koen, który przygnieciony ostatnio lawiną wydarzeń, najdziwniejszych poglądów i najprawdziwszych, nieoczekiwanych faktów, czuł chwilami, że wariuje. Rozmyślał też coraz częściej o pewnego rodzaju nielogiczności. Jak to możliwe, że Długowieczni, zahartowani przez wieki układami i przeróżnymi gierkami prowadzonymi na co dzień w skrajnie trudnym środowisku rządzących hien, zblazowanych, szczwanych dworaków wrażliwych na każdy podejrzany odcień głosu, spojrzenia, jakim więc cudem, właśnie oni, są osobnikami tak egzaltowanymi, tak emocjonalnymi? Zwłaszcza niektórzy, i zwłaszcza w tak nierozstrzygalnych z natury kwestiach?

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Autor: golesz (golesz@wp.pl)

Nadesłano do „Wolnych Mediów”